

BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON

Pył


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON

Pył

TŁUM. NIEZNANY

I

Droga z miasta, do Skogstadu, starego majątku ziemskiego rodziny Atlungów, w którym ponad lasem wybrzeżem rzeki, przecinającej grunta, znajdowało się wiele znacznych fabryk, w zwykłych okolicznościach, nie trwała dłużej, niż dwie godziny, przy dobrej sannie jednak, zaledwie godzinę. Szosa ciągnęła się wzdłuż fiordów. Jadąc z miasta, po prawej stronie miałem fiord, po lewej pagórkowato rozłożone pola, a między nimi rozrzucone wille i dwory, wśród drzew, krzewów i kwiecica.

Te pagórki dalej przerastały w góry, okalające drogę, która tutaj stawała się coraz pustszą i trudniejszą do przebycia, aż w końcu, daleko w głąb fiordu nie było już nic widać, jeno las i las. Ow las jodłowy należał właśnie do posiadłości Skogstad, fabryki zaś, rozstawione ponad rzeką, wyrabiały materiały drzewne, i przetwarzały je na papier.

Rodzina Atlungów, pierwotnie francuzka, za czasów Hugonotów przybyła na północ, jako pochodząca ze stanu niskiego; przez małżeństwa połączyła się ze starą, arystokratyczną rodziną Atlungów, i z czasem przybrała ich nazwisko.

Jechałem z przyjemnością. Niedawno upadł śnieg. Śród białego krajobrazu, powietrza przesiąkniętego atmosferą śnieżną, fiord wydawał się zupełnie czarnym. Drugi brzeg był niedaleko, ponad nim wznosiły się wysokie skały, obecnie też ubielone.

Skoro tylko wjechałem w las, zapanował on całkowicie nad memi myślami. Na sosnach pokładły się wielkie płyty śniegu; przeważnie jednak pokryta nim była część wschodnia; pozostało jednak tyle jeszcze drzew nieosypanych, że cały las w swej białej szacie, lśnił ciemnozielonym blaskiem; tu i ówdzie wychylała się uparcie gałąź zupełnie zielona.

Wkrótce ukazał się i właściwy Skogstad i podwórzec. Rzeka szemrała zdaleka, w oddali widniał szereg czerwonych dachów zabudowań. Po obu stronach podwórza stały domy robotnicze, oddzielone lasem lub parkiem.

Odwrociłem się teraz od mego towarzysza podróży — fiordu, i zajeżdżałem do dworu. Tam, gdzie się park kończył, zaczynał się ogród, a wzdłuż niego przechodziła mniej więcej równa droga. Niegdyś był i tutaj las, ale po nim pozostały tylko resztki, tworzące po obu stronach prześliczną aleję, jednakże wielkie, stare drzewa gdzieniegdzie już dały się zastąpić młodemi, a ten zagajnik był tak gęsty, że dwór, do którego dojeżdżałem, chwilami znikał mi z oczu zupełnie. Ale baśń śnieżna i tu szła za mną.

II

Wrażenia, jakie daje nam natura odgrywają dużą rolę w oczekiwaniu tego, co ma nastąpić.

Kobietę, ową jasnowłosą, którą niegdyś widziałem, i którą za chwilę miałem ujrzeć, wyobraziłem sobie w bieli. Po raz ostatni spotkałem ją przed dziewięciu laty w Dreźnie, w jej podróży poślubnej. Nosiła ona wówczas czysto suknie błękitne, nie widziałem jej nigdy w białej i nawet przypuszczam, że nie byłoby jej w tym kolorze do twarzy, a jednak teraz widziałem ją całą spowitą białością.

Pamiętałem ją dobrze, a szczególnie sytuację, w jakiej ich najczęściej widywałem: ona stała przy pianinie i śpiewała, on jej akompaniował; to, co śpiewała, pewnie było też „białe”, jakieś hymny szczęścia i radości.

Była córką duchownego; przyjeżdżali właśnie z probostwa, z sielanki ślubnej. Na probostwie słyszałem o nich dość często, a przy spotkaniu niejednokrotnie ponawiano prośbę, ażebym odwiedził ich, gdy będą w tej okolicy.

I teraz właśnie do nich jechałem.

Główny budynek we dworze, znany jest w Norwegii, jako jeden z największych; żaden z Atlungów nie zadawał się tem, co zbudował jego poprzednik, i w ten sposób dom, wraz z każdym nowym pokoleniem wzrastał i wydłużał się.

Ostatnią przybudowę dokonał już obecny właściciel, i nowe skrzydło było zmodernizowanym gotykiem.

Budynek główny otaczały inne domy w półkole. Lawirowałem tedy pomiędzy zabudowaniami, aż wysiadłszy z sanek, dotarłem do drzwi wejściowych gotyckiego skrzydła.

W całym domu nie ujrzałem żywej duszy, ani nawet psa. Czekałem chwilę na próżno, a potem wszedłem na kurytarz, gdzie zdjąłem kapelusz i palto, a ztamtąd już trafiłem do jasnego, dużego przedpokoju.

I tu nie było nikogo, ale posłyszałem już zmieszane głosy: dwa dziecinne i jeden kobiecy, albo dwa kobiece i jeden dziecinny, tego rozpoznać nie mogłem, poznałem za to od razu pobożną pieśń amerykańską, którą śpiewali, znaną w całym kraju: skarga małej dziewczynki, która każdemu jest przeszkodą, tylko nie Bogu w niebie, który przygarnia do siebie wszystkie, nieszczęśliwe dzieci.

Skarga ta brzmiała trochę obco w tym jasnym pokoju, urządzonej z wyszukany gustem.

Zapukałem do drzwi i wszedłem do jednej z najpiękniejszych bawialni, jakie kiedykolwiek w kraju widziałem. Roztaczał się stąd cudowny widok na fiord i była ślicznie urządzona. Stylowe meble stały na dywanach brukselskich, marmurowe biusty i posągi wspierały się na wspaniałych konsolach. Dźwięki owej pieśni księżycowej, snuły się tu po kątach; chodziły one z ust kobiety i dwóch chłopców, z których starszy mógł mieć lat około siedmiu, młodszy sześć niespełna.

Na odgłos moich kroków, kobieta zwróciła spojrzenie ku drzwiom i zdziwiona przestała śpiewać. Dzieci siedziały odwrócone ku oknu, więc wejścia mego nie zauważyły i śpiewały dalej.

Starszy chłopczyk podobny był do rodziny ojca, młodszy do matki, obu jednakże obdarzyła ona swemi wielkimi, cudnymi oczyma. Starszy miał twarzyczkę podłużną, wysokie czoło, rudawe włosy, i piegowatą buzię, jak ojciec. Cała postać młodszego, podobną była do matki, figura nieco naprzód pochylona, a głowa, dla utrzymania równowagi w tył przegięta, skutkiem czego usta nawpół otwarte, no i te same, szare, pytające oczy, jasne włosy, spadające w lokach na czoło, jak u niej.

Obserwacje te robiłem, gdy dzieci, ujrawszy mnie, podeszły do stołu, a kobieta, która wraz z nimi śpiewała, powstała, i zbliżyła się do mnie, widocznie nie wiedząc dobrze, czy jestem jej znajomym, czy też obcym. Gdy jednak usłyszała moje nazwisko, wyznała z uśmiechem, że widziała moją fotografię w albumie z podróży poślubnej swoich państwa. Objąśniała mi też, że Atlung jest w fabrykach i dopiero na obiad przyjdzie do domu, to jest za godzinę, a żona jego poszła do domków robotniczych, ażeby odwiedzić pewnego staruszka, leżącego na łożu śmiertelnem.

Opowiadała mi to wszystko dźwięcznym, miękkim głosem, przypatrując mi się badawczo. Ja zaś nie przypuszczałem nigdy, ażebym mógł ujrzeć zstępującą z ram twarzy Madonny Carla Dolci, i dlatego przypatrywałem się jej również badawczo. Osada głowy, profil, a nadewszystko oczy i brew, delikatność rysów i cały wyraz — prawdziwy Carlo Dolce!

Wyszła, zostawiając mnie z chłopcami, którymi zająłem się natychmiast. Starszy miał imię Antos i umiał chodzić na rękach, młodszy Sztorm; malec właśnie opowiedział mi to o swoim bracie i o wielu innych jeszcze, cudownych rzeczach; najwidoczniej uwielbiał go i podziwiał. Starszy opowiadał mi znów o braciszku, że dostał dziś od ojca w skórę; Stina poskarżyła się ojcu: Stiną nazywała się żywy Carlo Dolci.

Po tym, niezbyt dyplomatycznym wstępie do znajomości, stali już obaj przy mnie i opowiedzieli obaj razem to, co ich obecnie do najwyższego stopnia zadziwiała: W jednym z dworów robotniczych, mieszka Janek, to jest mieszkał, bo właśnie teraz jest już u Pana Boga. Codzień prawie, bawił się tu z niemi na podwórzu, im też wolno było często chodzić

do niego, i jak mogłem wnosić z opowiadania, wizyty te dla chłopców były ziemią obiecaną i rajem.

Pewnego wieczoru, przed dwoma tygodniami, mały Janek właśnie o zmroku miał wracać do domu; to było zanim spadł śnieg, a w parku był staw taki czarny i taki lśniący. Chciał przejść przez niego, bo mu było bliżej, ale tego samego dnia wyrabali właśnie w nim dziurę, do połowu ryb potrzebną i zapomnieli ją oznaczyć, no i mały Janek wpadł w nią. Słyszano na podwórzu krzyk dziecka, ale nie zwracano na to uwagi, bo wiele dzieci krzyczy na podwórzu. Mały Janek zniknął, nikt nie wiedział gdzie, a gdy znów łód wyrabali na stawie, to go tam znaleźli. Ale chłopcom nie było wolno go zobaczyć, za to byli na pogrzebie razem z dziećmi ze szkoły. Nie pochowali go w kaplicy, jak dziadka i babcię, tylko na cmentarzu. O, to było prześlicznie! pan nauczyciel śpiewał basem, stary kasztan wioził Janka; leżał w biało pomalowanej trumnie, którą ojciec kazał z miasta przywieźć, a na trumnie były wieńce, które uwiła mama ze Stiną. Wszystkie dzieci dostały ciastka i jagody, przed pogrzebem, a na pogrzebie śpiewali wszyscy właśnie to samo, co dzieci przed chwilą. Stina ich tego nauczyła. Janek był bardzo biedny, ale teraz już mu dobrze, bo jest u Pana Boga, a w ziemi tylko trumna się została. A co jest w trumnie? Tak, tam niema prawdziwego Janka, bo teraz jest zupełnie inny Janek; aniołki z nieba przyszły, do niego, do stawu ze wszystkim, co odtąd mieć już będzie, tak, że nie potrzebował nawet marznąć w wodzie.

To daleko, daleko ładniej być z aniołkami w niebie, niż tu na ziemi. Tak, to prawda, Stina tak powiedziała. Ona też wolałaby tam być i tylko dla mamusi nie odchodzi, bo wtedy mama byłaby taka sama.

Właśnie w tej chwili ukazała się Stina, prosząc dzieci, by z nią odeszły.

Na lewo od pokoju, w którym siedziałem, drzwi stały otworem. Sądząc po półkach z książkami, domyśliłem się, że to biblioteka. Miałem wielką ochotę przekonać się, jakie książki czytał ojciec tych dzieci, jeżeli wogóle coś czytał. Pierwsza, jaką dostrzegłem na biurku obok listów, ksiąg rachunkowych i wzorów tkanin fabrycznych, była dziełem przyrodniczem Bain'a. W pierwszych rzędach na półkach, stały dzieła innych angielskich przyrodników. Wziąłem pierwsze lepsze do ręki i przekonałem się, że istotnie jest czytelne. To się zgadzało z tem, co o Atlungu słyszałem.

W tej chwili odezwały się dzwonki sanek. Postawiłem książkę na właściwym miejscu i szybko opuściłem bibliotekę. Tymczasem weszła do domu pani jego i stanęła przedemną.

III

Widok mój sprawił pani Atlung widoczną przyjemność, podeszła do mnie szybko, podała mi obie ręce i patrzyła tak długo w oczy, aż jej źrenice napęły się łzami. Sprowadziło je niewątpliwie wspomnienie poślubnej podróży, tych najpiękniejszych pewnie chwil w jej życiu. Po co jednak łzy?

Nie, nieszczęśliwą być nie mogła; została tak bardzo tą samą, co niegdyś, że, gdyby nie bardzo nieznaczna tusza, nie dopatrzyłbym najmniejszej zmiany. Wyraz twarzy ten sam, niewinny i pytający. Nawet włosy tak samo falowały dokoła przechylonej głowy; i tak samo usta były napół otwarte.

Wyglądasz pani tak, jakbyś nic nie przeżyła od chwili, gdyśmy się po raz ostatni widzieli, — były pierwsze moje słowa.

Spojrzała na mnie z uśmiechem i usiadłszy tuż koło drzwi biblioteki.

Opowiedziałem przyczynę mej podróży i otrzymałem podziękowanie, że nareszcie pamiętałem o niej. Oddałem ukłony od rodziców, o których przez chwilę rozmawialiśmy. Opowiadała mi, że właśnie myślała o ojcu, tak bardzo byłaby pragnęła mieć go dziś przy sobie, bo właśnie wraca od umierającego człowieka. To mówiąc, przybrała moją ulubioną pozę, oparłszy głowę nieco przechyloną na ręce i utkwivszy oczy w sufit; mały palec od czasu do czasu przytykała do dolnej wargi. Nie patrzyła na mnie, pytając, lub odpowiadając, chyba że ją coś specjalnie zajęło.

— Czy pan wierzysz w nieśmiertelność? — spytała nagle; zdumiony tem zapytaniem, spojrzałem na nią i znowu dostrzegłem łzę, spływającą po twarzy, i inne po niej zapelniające oczy.

Odczułem w tej chwili, że pytanie to jest tylko dalszym ciągiem jej myśli i że dotyczyło sposobu myślenia jej męża; to też odparłem zapytaniem:

— Co sądzi mąż pani o nieśmiertelności?

— Nie wierzy w śmiertelność indywidualności, — odparła; — odradzamy się w naszym otoczeniu, czynach, a szczególnie w dzieciach, ale uważa taką nieśmiertelność za wystarczającą.

Patrzała w dal, jak przedtem, zażawionym wzrokiem; ale w głosie jej nie drgała najmniejsza nuta niezadowolenia lub goryczy.

— A więc pani mówi o takich rzeczach z Atlungiem?

— Dziś już nie.

— W Dreznie wydawało mi się, że państwo mają jednakie przekonania...

— Był wówczas pod wpływem mego ojca, a prawdę powiedziawszy, nie wierzę, żeby sobie zupełnie jasno zdawał z tego sprawę. To tak zwolna przychodziło.

— Tak, dostrzegłem parę książek, które teraz znalazły miejsce w tych rządach.

— Tak, Albert zmienił się.

Powiedziała to zupełnie spokojnie, tylko mały paluszek dotykał ust nerwowo.

— A któż się zajmuje wychowaniem dzieci? — spytałem.

Zdawało mi się, że nie ma ochoty odpowiedzieć na to pytanie, przez grzeczność jednak odparła:

— Nikt.

— Nikt?

— Albert chce, żeby i nadal tak było.

— Ależ droga pani, jeśli się ktoś nie zajmuje nawet dziećmi, uczy je tylko czytać i pisać, to przecież opowiada im to i owo.

— Tak, jak ktoś chce; a właściwie robi to Stina.

— A więc to dzieje się tylko jakby przypadkowo?

— Zupełnie przypadkowo, — odparła prawie obojętnie.

Opowiedziałem jej w krótkich słowach rozmowę moją z dziećmi o aniołkach, o drugim życiu, i zapytałem jej, czy to aprobejuje.

— Tak, czemu nie? — Spojrzała na mnie z przedziwną niewinnością, ale ponieważ nie zaraz jej odpowiedziałem, zwolna twarzyczka jej pokrywać się zaczęła rumieńcem.

— Jeżeli trzeba im opowiadać coś koniecznie, to przynajmniej coś takiego, co pobudza ich dzieciinną wyobraźnię...

— Ależ to burzy rzeczywistość, droga pani, i równa się, przytłumianiu ich zdolności umysłowych.

— Czyli, że doprowadza je do obłądu?

— No, jeżeli nie to, to w każdym razie przeszkadza właściwemu kierunkowi rozwoju.

— Nie rozumiem pana.

— Jeżeli pani uczy dzieci, że życie doczesne nie jest niczem wobec przyszłego, że istnienie niczem, wobec szczęścia nieistnienia, że człowiekiem być, jest o wiele mniej, niż aniołem, że życie o wiele mniej warte od śmierci — w takim razie nie jest to właściwa droga objaśnienia dzieciom, jak mają pojmować życie, kochać je, jak pojmować swoje obowiązki obywatelskie, pracy, miłości ojczyzny.

— Ach, tak pan to rozumie, to już później się zrobi.

— Później, jak już cały ten *pył* pokryje ich duszę?

Pani Atlung zamyśliła się głęboko.

— Dlaczego pan używasz wyrazu „pył?” Wyobrażam sobie zaraz, coś, co już było, minęło, a teraz uwolnione z więzów rozprasza się i osiada na wszystkich pustych miejscach.

— Zamilkła na chwilę.

— Czytałam o pyle, że trujące materye z zepsutych przedmiotów zbiera i roznosi je; ale tego chyba pan nie masz na myśli?

— Nie rozumiałem, co chciała przez to powiedzieć.

— To zależy, odparłem, na co pył pada. U ludzi zdrowych, powodują mgłę, posępność, tak że zasłania jasność spojrzenia. Jeżeli zaś pyłu nikt nie otrząśnie, gromadzi się on spokojnie na całej grubości, aż machina nie może już iść dalej.

Zwróciła się żywo do mnie:

— Jakże pan na tę myśl wpadłeś? czy widziałeś ile tu leży pyłu? Tu, wszędzie?...

Wyznałem, że zauważyłem.

— A jednak Stina nic innego nie robi, tylko obkurza, i ja w pierwszych czasach naszego małżeństwa nic innego nie robiłam. Nie rozumiem tego. W domu mojej matki ciągle słyszałam o kurzu. W koło ojca nawet chodziła z mokrą ścierką. Irytował się okropnie, że psuje mu książki i papiery, a ona twierdziła, że nikt tyle, co on, pyłu nie sprowadza. Zaledwie opuścił swój gabinet już była ze ścierką i szczotką; potem przyszła kolej na mnie. Twierdziła, że ja jestem jak ojciec, za sobą kurz wlokę i nigdy nie umiem, nic dobrze okurzyć. Tem wiecznym okurzaniem byłam tak zmęczoną, że wyszedłszy za mąż, uważałam za raz, że nie potrzebuję sama okurzać i mogę to innym pozostawić, ale tu myliłam się jednak. Teraz dałam spokój. To już nic nie pomoże. Widocznie nie mam zdolności do obchodzenia się z pyłem.

Po chwili, ciągnęła dalej, zasunawszy się głębiej w fotel:

— Że też pan musiał także o kurzu mówić!

— Nie dotknąłem pani przecież?

— Czyż pan może to przypuszczać? — I najnaturalniejszym w świecie tonem dodała:

— Człowiek, który przeżył dziewięć lat z Albertem, nie może się już nigdy czuć dotkniętym.

Czułem się zakłopotany. Po co się u licha mieszałem w nieswoje rzeczy. Zamilkłem. I ona siedziała, a raczej w pół leżała, nic nie mówiąc. W końcu jednak usłyszałem słowa, jakby z oddali płynące:

— Ale pył motyla jest jednak piękny, i po długiej chwili, półgłosem wypłynęło na usta jej pytanie:

— Łamanie się promieni... rozmaite łamanie promieni... — zatrzymała się nagle, nadstawiła ucha i wstała; usłyszała kroki Atlunga w przedpokoju. I ja też wstałem.

IV

Drzwi otwały się szeroko i wszedł wysoki, szczupły mężczyzna w obszernym ubraniu, noszącym na sobie ślady pracy w fabrykach.

Przymrużył zlekka oczy, ujrawszy mnie i po chwili uśmiech zagościł na długiej twarzy. Prześliczne białe zęby zaśniły i zawołał szczerze ucieszony:

— Więc to pan, doprawdy?

Uściskał mi obie ręce, a potem objął żonę i dodał:

— Jak to miło, Amelio, nieprawdaż? Przypomina nam nasze piękne drezdeńskie czasy.

I potem serdecznie mnie pytał o zdrowie, o podróż, w końcu zaczął opowiadać, chodząc po pokoju, o swoich zajęciach, przyczem dotykał coraz to jakiegoś przedmiotu, i brał go do ręki, i trzymał, nie tak, jak my, w palcach, ale całą dłońią.

Żona wyszła tymczasem i wkrótce wróciła, zapraszając nas do stołu. Ale w tej właśnie chwili Atlung podchodził do pianina, gdzie leżały otwarte nuty. Zaczął grać, a potem wiersz za wierszem śpiewać długą pieśń. Żona przypominała mu o jedzeniu, gdy skończył.

— Amelio, spróbujmy ten duet, — poprosił ją, i zaczął akompaniament. Uśmiechnęła się do mnie, stanęła jednak przy nim i zaczęła śpiewać. Głosy ich, sopran z barytonem, doskonale się zlewały, i dopełniały. Kto przez chwilę choćby nie mógł zrozumieć, w jaki sposób zeszło się tych dwoje ludzi, wystarczyło aby posłuchał ich śpiewających.

Nie było w ich śpiewie siły, ani szkoły, ani opracowania pojedynczych tonów i akordów, ale odczuwać się dawało doskonale odczucie i harmonia melodyi. Głosy zlewały się w jeden ton, roztaczając dokoła szczególny urok. I śpiewali wiersz za wierszem, a czem dłużej trwała pieśń, tem doskonalej.

Kiedy nareszcie skończyli i przeszliśmy do sali jadalnej, a pan domu oddalił się, aby dać Stinie klucz do piwnicy, zauważyłem w oczach pani Atlung tylko cichy, piękny wyraz zadowolenia.

Zasiedliśmy do stołu, a po chwili zjawił się Atlung z piwnicy, dokąd musiał sam się udać, tak zabrudzony, żeśmy oboje parsknęli śmiechem.

Zmieniwszy ubranie i umywszy się zasiadł nareszcie do stołu, i jadł prędko i żarłocznie, a nasyciwszy pierwszy głód, spytał o chłopców: zjedli już, bo nie mogli tak długo czekać.

— Czy pan widział dzieci?

— Tak, odparłem, i wtrąciłem parę słów, o ich naturalnej prostocie i o podobieństwie do obu rodzin.

— To źle, — wtrącił Atlung, — że obie rodziny mają stosunkowo zanadto rozwiniętą wyobraźnię. Jest coś miękkiego w tych charakterach i to właśnie odziedziczyli nasi chłopcy. Przed dwoma tygodniami np. odegrał się tu smutny dramat. Towarzysz zabaw naszych chłopców utopił się w stawie rybnym. Co dzieci z tej historii, naturalnie przy pomocy Stiny, zrobiły, to jest istotnie niepojęte. Dziś jeszcze o tem myślałem; właściwie nic nie powiedziałem, bo w gruncie rzeczy to dość zabawne i nie chciałem Stinie robić wymówek, ale jednak to było okropnie głupie. Stanowczo, Amelio, lepiej będzie oddać ich do szkoły, niż pozwolić, aby poddawali się tak wszelkim wrażeniom.

Żona nie odpowiedziała. O jedzeniu znów zapomniał. Po chwili wziął kęsek, ale w sekundę już nie pamiętał, że go trzyma na widelcu. I tak przy obiedzie siedzieliśmy przeszło godzinę, przyczem Atlung rozbierał i cytował Spencera „O wychowaniu”, nie bacząc na to, że ja zadałem mu pytanie, czy go czytał, z czego wnosić należało, że sam chyba również przestudowałem go dokładnie. Punkt po punkcie cytował ustępy z książki i robił przytem swoje uwagi. Między innymi te, że jeśli według Spencera nauka o wychowaniu powinna być wprowadzoną do szkół, jako jeden z najważniejszych przedmiotów, to jednakże, bardzo wielu nie zdobędzie talentu wychowywania dzieci, bo to stanowczo jest talentem, który bardzo niewiele osób istotnie posiada.

On ze swojej strony chciał, jak tylko dzieci będą już dość duże, posłać je do pewnej pani, która, zdaniem jego, talent ten posiada. Mówił o tem, jakgdyby to była rzecz oddawna postanowiona. Zdziwiłem się, że nie mówiła mi nic o tem, gdyśmy przed przyjściem męża, mówili o wychowaniu dzieci.

Naraz Atlung chwycił za zegarek i przypomniał sobie, że musi się jeszcze spotkać z Hartmanem, swoim dysponentem, przeprosił mnie i wybiegł.

Droga do miasta, końmi, z wypoczynkiem, trwać musiała kilka godzin; przypuszczałem, że zostanę nie w porę, i postanowiłem pożegnać się po kawie. Pani Atlung przeprosiła mnie, że musi zaglądnąć do kuchni, a ja chciałem się trochę rozejrzeć po podwórku.

Na schodach doszedł mnie głośny śmiech dzieci, a za nim w ślad wymyśl taki, że nie mogło mi się w głowie pomieścić, żeby mógł być przez dzieci pomysłany, a cóż dopiero głośno na podwórzu wypowiedziany.

Najprzód wymówił go starszy, a za nim młodszy. Chłopcy stali na dworze, a wymyśl ów tyczył się dziewczynki, stojącej w szopie i zajętej oczyszczaniem sani.

Po chwili chłopcy krzyknęli drugi wymyśl, gorszy jeszcze, niż poprzedni, a potem posypały się coraz gorsze wymyślania, którym towarzyszyły wybuchy śmiechu. Jasnym było, że im ktoś trzeci podpowiadał. Dziewczynka milczała, spoglądając tylko na kogoś, co stał po za nimi w remizie.

Ztamtąd doleciały mnie drwinki; i Atlung wyszedł ubrany, prowadząc swego konia.

Chłopcy, ujrawszy ojca przełękli się bardzo, bo nagle uprzytomnili sobie te szkaradne wymyśle, właściwie po to wypowiedane, aby komuś trzeciemu oddać złą przysługę.

Ojciec krzyknął głośno:

— Poczekajcie, niech tylko wrócę do domu, dostaniecie porządne różgi.

Wsiadł w sanie i zaciął konia. W przejeździe dostrzegł mnie i skinął mi przyjaźnie głową.

Chłopcy stali przez chwilę, jak skamienieli. Poczem starszy biedz zaczął, jak tylko mógł najszybciej, a młodszy za nim, wołając z płaczem:

— Czekaj, Antoś, czekaj, zabierz Storma z sobą!

I zniknęli za szopą, ale długo jeszcze słyszałem płacz młodszego.

V

Straciłem humor i chciałem się pożegnać. Ale kiedy wszedłem do pokoju, pani domu siedziała na wygodnym fotelu w bawialni; zaledwie się pokazałem, zagadnęła mnie:

— Co pan myśli o *Wychowaniu* Spencera? Czy pan sądzi, że teorye jego można zastosować do praktyki?

Nie chciałem wdawać się w dyskusję na ten temat i dlatego odparłem tylko:

— Praktyka męża pani, nie jest w każdym razie w zgodzie ze Spencerem.

— Praktyka mego męża? — O ile mi się zdaje nie ma żadnej. Uśmiechnęła się.

— Pani zdaniem, nie troszczy się o dzieci?

— O, w tym względzie podobny jest do wszystkich innych mężczyzn, — bawią się oni tylko czasem dziećmi, albo je biją, jeśli zrobią coś takiego, co im się nie podoba.

— Pani sądzi, że oboje małżonkowie jednak są odpowiedzialni za dzieci.

— No, naturalnie. Ale mężczyźni i tu zrobili sobie podział taki, jak im się podobało. Pragnąłem odejść. Spojrzała na mnie zdziwiona i spytała mnie, czy nie chciałbym przynajmniej napić się wpiw kawy?

— Ale prawda, — dodała — przecież pan tu niema nikogo, z kim mógłby porozmawiać.

Nie była ona pierwszą zamężną kobietą, która czyniła przeciw mężowi ukryte wybieczki.

— Pani stanowczo nie ma powodu mówić do mnie w ten sposób.

— Istotnie; proszę mi darować.

Odpowiedź brzmiała trochę ponuro; jeśli się nie mylę pani domu była bliską płaczu.

— Usiadłem tedy przy niej i zacząłem:

— Mam to uczucie, droga pani, że pani potrzebuje z kimś pomówić, ale ja się do tego nie nadaję.

— Czemu? — spytała.

— Jeżeli już nie z innego powodu, to choćby dla tego, że taka rozmowa musi mieć ciąg dalszy, bo daje wiele do myślenia, a ja muszę dziś odjechać.

— A czy pan nie może powrócić?

— Czy pani życzy sobie tego?

Zamilkła na chwilę, poczem odparła z wolna:

— W zasadzie znam w życiu tylko jedno wielkie pragnienie, a to do spełnienia go, może mi być właśnie potrzebny powrót pana.

— O cóż idzie, droga pani?

— Tego powiedzieć panu nie mogę o ile nie otrzymam obietnicy powrotu.

— W takim razie przyrzekam pani.

— Dziękuję.

Przysunąłem się do niej i wziąłem ją za rękę.

— Co pani cięży?

— Nie, nie teraz. Jak pan powróci. Musi nam pan dopomódz, o ile pan będzie uważał to za dobre.

— Naturalnie. Przecież ja w wielu wypadkach myślę tak, jak Atlung. On będzie się liczył z pani argumentami.

— Nie, z mojem zdaniem on się nie liczy, proszę mi wierzyć.

— Więc niech się pani o to postara.

— Nie, tak byłoby najgorzej. U niego wszystko zależy od usposobienia.

— Ależ proszę pani, przecież widziałem, że was łączy nad wyraz miły stosunek.

— Mój Boże, tak, bawimy się ze sobą często i to nawet bardzo dobrze.

Miałem to uczucie, że nie chce, abym na nią patrzył. Usunąłem się tedy: tymczasem mrok zapadał coraz głębszy.

— Czy pan sobie przypomina nas w Dreznie?

— Tak.

— Byliśmy młodzi i bawiliśmy się. Zaręczyć się — to było bardzo interesujące; a wyjść za mąż, mieć swój dom, jeszcze bardziej. Mieć dzieci jednak — mniej. I oto siedzę tu w domu, którym nie potrafię rządzić i mam dzieci, które żadne z nas chować nie umie, przynajmniej Atlung.

— Przecież pani ma pomoc?

— To jest właściwie mojem nieszczęściem.

Chciałem się zapytać, co przez to myśli, gdy drzwi jadalnego pokoju otworzyły się zcicha. Stina weszła z lampami.

Gdy opuszczała pokój, matka zapytała o dzieci. Stina odparła że właśnie szukają ich, bo ich niema na podwórzu. Pani domu nie zwracała uwagi na jej słowa.

— Kto jest Stina? — zapytałem, gdy drzwi się za nią zamknęły.

— O, to bardzo nieszczęśliwe stworzenie; miała ojca pijaka, który ją bił. Potem dostała męża pijaka, który ją też bił. Już nie żyje.

— Czy dawno jest już w domu państwa?

— Od chwili, jak spodziewać się zaczęłam pierwszego dziecka.

— Ależ to okropnie smutna towarzyszka dla pani.

— Naturalnie, że nie jest zabawna.

— Byłoby więc lepiej, żeby dom opuściła.

— To byłoby przeciwne tradycjom. Starsza osoba tu w tej rodzinie musi dzieci doglądać, a ta starsza osoba musi w tej rodzinie do śmierci pozostać. Zresztą Stina jest dobrą i uczciwą.

Przyniesiono kawę. Pani Atlung podała mi filiżankę i rzekła:

— Gdy jechałam dziś rano do umierającego człowieka, tamtą stroną parku, wpadło mi na myśl, że śnieg na tych ogołoconych z liści drzewach, przedstawia właściwie najpiękniejszy obraz nadziei nieśmiertelności na ziemi. Nieprawdaż? Taki czysty idzie z góry i taki miłosierny.

— Pani sądzi, że on z nieba spada?

— Spada na ziemię.

— To prawda, ale pochodzi też z *ziemi*.

Udawala, że nie słyszy mojej uwagi i ciągnęła dalej:

— Mówiłeś pan przedtem o pyle, ależ ten biały czysty na zmarzniętych gałęziach i na zielonej ziemi, to przecież jak poezja wieczności, tak mnie się przynajmniej wydaje.

— A któż tę poezję stworzył?

Wielkie jej oczy spoczęły teraz na mnie, ale nie pytająco, lecz stanowczo.

— Jeżeli niema objawienia na zewnątrz, to istnieje ono na wewnątrz. I każdy, kto tak czuje, posiada je.

Nigdy piękniejszą, niż w tej chwili nie była. Naraz usłyszeliśmy kroki w przedpokoju. Atlung powracał, i za chwilę, zmieniwszy ubranie, wchodził do nas. Spotkał dysponenta swego po drodze i załatwił z nim interesy.

Zona wodziła za nim wzrokiem pytającym. Albo było jej niemiło, że zbyt wcześnie przyjechał i przerwał nam rozmowę, albo dostrzegła, że jest w złym humorze.

Po chwili opowiedział jej, co zaszło z dziećmi; i że obiecał im różgi; był wzburzony i w końcu dodał, że czego innego potrzeba, niż różeg.

Ona stała nieruchoma. Na twarzy jej malowało się przerażenie. Obejrzała się po pokoju, jakby oczekiwała czegoś jeszcze straszniejszego.

— Muszę ci to w końcu powiedzieć, Amelio, że jutro dzieci stąd wywiozę, — dodał w końcu.

Zwolna osunęła się na sofę, tak wolno, że zdaje mi się, iż sama nie wiedziała, że siada. Oczów z niego nie spuszczała. Czegóż bardziej bezradnego i niezdolnego nie widziałem jeszcze w życiu.

— Kochasz tak bardzo dzieci, Amelio, że pogodzisz się z tem. Teraz sama widzisz do czego to prowadzi, że po raz ostatni uległem twoim prośbom.

Zdawało mi się, że jeszcze jedno słowo z jego strony, a zabije ją. Czyż nie widział tego? Niewiem, czy odgadła moje współczucie, ale nagle spojrzała na mnie, wyciągnęła do mnie ręce. Rozpacзлиwa prośba leżała w tym ruchu. Zrozumiałem natychmiast, że to było jej jedynym pragnieniem, w tem chciała odemnie pomocy. Ukryła twarz w dloniach i tak siedziała bez ruchu. Niewiem, czy płakała, zdaje mi się, że się modliła. On chodził po pokoju, spoglądał na nią, lecz krok jego był coraz pewniejszy.

Drzwi od jadalni otworzyły się zcicha. Na progu ukazała się Stina, bledsza jeszcze niż przedtem. Przystanął i Atlung.

— Co się stało, Stino? — zapytał.

Nie odpowiedziała zaraz, spojrzała tylko na swoją panią, która podniosła głowę.

— Co się stało, Stino? — powtórzyła.

— Chłopcy... — zaczęła i zatrzymała się.

— Co chłopcy? — powtórzyli oboje.

— Niema ich, ani na podwórzu, ani na placu. Szukaliśmy wszędzie i w fabrykach.

— Gdzie widziano ich ostatni raz? — zawołał Atlung.

— Majerowa mówiła, że widziała, jak chłopcy wybiegli z płaczem z parku, kiedy pan obiecał im różgi.

— Staw! — wymknęło mi się z ust.

To nie był wyrzut, o nie, to był okrzyk rozpacz.

— Stino! — krzyknął Atlung.

Był to krzyk najboleśniejszy, jaki kiedykolwiek słyszałem, i wybiegł nagle, a za nim żona, wołając go po imieniu.

— Przyniescie latarnie, — zawołał do ludzi w jadalni.

Wyszedłem i ja, i wzięwszy kapelusz, zwróciłem się do Stiny.

— Chodź ze mną i pokaż gdzie to jest.

Bez odpowiedzi, nieświadoma może swych czynów, poszła naprzód ze złożonymi jak do modlitwy dłońmi, szepcząc półgłosem słowa:

— Boże litościwy! Jezusie zlituj się nad nami! Boże miłościwy!

Tak przeszliśmy podwórze, i popędzili przez ogród do parku.

Zimno nie było, tylko śnieg padał. Jak we śnie szedłem wśród mgły śnieżnej, za tą wysoką, modlącą się postacią.

Zkąd mi przyszło do głowy, żeby wskazać na staw, niewiem, ale w takich razach ustaje wszelki rozsądek. Przypomniała mi się rozmowa z dziećmi o aniołkach i o biednym Janku. A jeżeli nie poszły nad staw, to może są gdzieindziej; przyjaciel ich Janek, miał dostać dziś skrzydła i pójść do swego ojca; siedzą więc gdzie może pod jakim drzewem i czekają, a w takim razie zmarznąć mogą. I widziałem przed sobą dwoje dzieci, nie mogących powrócić do domu.

Zwierzyłem się Stinie z moich myśli, lecz szepnęła mi tylko rozpaczliwie:

— Módl się pan ze mną, módl się pan!

— O co mam się modlić? Żeby chłopcy umarli i poszli do nieba i zostali aniołami?

Spojrzała na mnie przerażona, odwróciła się, i kroczyła już dalej w najgłębszym milczeniu.

Szliśmy przez las, drogą prowadzącą do stawu o ile uprzytomniłem to sobie z opowiadania małego Janka, zanim dotarliśmy do niego, musieliśmy przejść większą część parku, do miejsca, w którym rozlewał się strumień i urządzona była grobla; żeby znów dojść do stawu, trzeba było przejść groblę.

Stina szła wciąż naprzód, a przeszedłszy groblę i zobaczywszy oboje rodziców na tem samym miejscu, uklękła i płakała. Ogarnął mnie żal szczery.

Z za lasu doszły nas głosy ludzi, nadchodzących z latarkami.

— Niema dziury w stawie! — zapewnił nareszcie głos Atlunga, a w ślad za nim, usłyszeliśmy okrzyk Stiny:

— Niechaj Pan Bóg będzie pochwalony!

Nad groblą jednak oboje małżonkowie stali bez ruchu, trzymając się w objęciach. Pobiegłem do nich. Pani Atlung obejmowała ramionami szyję męża, a on stał ku niej pochylony. Zatrzymałem się nieopodal, bo coś do siebie szeptali. Dopiero oprzytomnieli, widząc światło latarni.

— Co teraz robić? Gdzie szukać? — odezwał się Atlung. Zbliżyłem się i powtórzyłem znów rodzicom moje przypuszczenie, czy nie siedzą gdzie, pod jakim wielkim drzewem i czekają na litościwych aniołów.

Atlung zwrócił się tymczasem do ludzi, stojących koło grobli i zapytał, czy dzieci miały jakie płaszczyki, gdy ich ostatni raz widziano. Odparli przecząco, jak również że i czapeczek nie widzieli na ich główkach.

Śród ludzi słychać było głośny płacz i łkanie. Było ich tam ze dwudziestu. Atlung zawołał.

— Musimy cały park przeszukać, i okolice; zaczniemy od placów roboczych.

Spojrzałem przed siebie. Masy drzew, pokrytych śniegiem, czyniły wrażenie lasu skamieniałego.

— Krzyknij głośno! — prosiła Atlunga żona.

Uszedł kilka kroków. Wśród ciszy rozległ się głos jego:

— Antosiu! Stormie! Chodźcie do tatki, i do mamy. Tatko już się nie gniewa!

Poruszyło się powietrze, czy spadł śnieg ostatni właśnie i pochylił gałąź, czy ktoś się zbliżył do niej zbyt — dość, że Atlungowi w odpowiedzi spadł tuż płat biały z wielkiej gałęzi i głuchy loskot jak echo zadźwięczał w całym lesie.

Gałąź, oswobodzona od ciężaru podniosła się szybko i istny tuman śniegu powstał ponad nami, przy wstrząśnieniu tem bowiem, wszystkie gałęzie zrzucić zaczęły z siebie białe ciężary.

Rozległ się chrzęst i szelest dokoła nas, i zanim zdążyliśmy zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje, naraz sąsiednie drzewo zrzuciło śnieg ze wszystkich swych gałęzi. Ciśnienie powietrza było tak silne, że dwa, pięć, sześć, dziesięć, dwadzieścia drzew z gwałtownym hałasem oswobadzało się od ciężaru. Za jedną grupą szły inne, jedno za drugimi, tuż, koło nas, przed nami, zdala od nas. Cały las drżał, z oddali dochodził groźny odgłos grzmoty, wszystko dokoła stało w bieli mglistych oparów.

Lęk ogarnął nas początkowo, na odgłos potężnego ryku; zwolna jednak, gdy oddalał się od nas i rósł, potężniał, zapomnieliśmy o wszystkim.

Drzewa stały znów smukłe, swobodne, cudnie zielone. My wyglądaliśmy, jak ludzie ze śniegu, wszystkie latarnie pogasły.

Zapaliliśmy jej na nowo i strząsnęli śnieg ze siebie.

— A gdyby tak dzieci ten śnieg przysypał! — z niewymowną trwogą zawołała matka.

Uspokajali ją, że to w żadnym razie zaszkodzić by im nie mogło. Najwyżej mogły upaść i nie móż iść dalej, w końcu jednak wygrzebałyby się niezawodnie.

Nagle Atlung zawołał:

— Cicho!

Przeszło minutę nikt nie śmiał odetchnąć, nasłuchiwaliliśmy, ale nic nie słyszeliśmy, prócz zdala jeszcze szemrzących gałęzi.

Jeżeli dzieci znajdowały się na skraju lasu, to niepodobna było, aby z miejsca, w którym się znajdowaliśmy słyszeli nasze wołania. Po obu stronach wszak były brzegi strumienia, wyższe od grobli, gdzieśmy się znajdowali.

— Idźmy dalej i szukajmy! — zawołał Atlung wzruszony; lecz zanim ruszyliśmy, prosił o chwilę ciszy i zawołał:

— Antosiu! Stormie! Powróćcie do tatki i do mamy!

Odpowiedzi nie było żadnej. Staliśmy jeszcze przez chwilę w milczeniu. Cisza. Wziąwszy żonę pod rękę, z opuszczoną głową puścił się za nami dalej w drogę.

VI

Doszedłszy do skraju lasu, rozdzieliliśmy się, ale w ten sposób, by się móż wzajemnie widzieć i słyszeć.

Zagłębialiśmy się w lesie, ale bardzo wolno, gdyż cały śnieg z drzew leżał teraz pod nami, grubą warstwą, pokrywając dawniej już leżący. W niektórych miejscach był tak gęsty, że brnęliśmy w nim po kolana.

Kiedyśmy, uszedłszy kawał drogi, zebrali się, ażeby się znów za chwilę rozejść, spytałem, czy to możebne, ażeby dwaj malcy wytrzymali w lesie, gdy się zciemniło. Lecz na to odpowiedzieli mi wszyscy, że chłopcy byli do tego przyzwyczajeni, że cały dzień, a nawet wieczorem bawili się zawsze w lesie. Tutaj spotykali innych chłopców, co sobie ze śniegu robili ludzi, budowali fortece, domy, w których często nawet, wewnątrz, ze światłem przesiadywali.

Opowiadania te poddały nam myśl, czy chłopcy przypadkiem i dziś czegoś podobnego nie zrobili i nie poszli szukać swoich przyjaciół.

Ale nikt nie wiedział, w jakiej by to stronie być mogło, ponieważ śnieg upadł bardzo niedawno. Ruszyliśmy tedy dalej, każde w swoją stronę.

Niespodzianie, kiedy uszedłem kilkadziesiąt kroków, spotkałem się ze Stiną; zbliżyliśmy się do siebie. Zauważyłem, że była w zupełnie innym usposobieniu. Spytałem jej o przyczynę.

— O! — odparła, — Bóg tak wyraźnie do mnie przemówił! Teraz znajdziemy chłopców! Teraz wiem już, dlaczego to się wszystko stało, wiem tak dokładnie!

I jej oczy Madonny jaśniała jakimś blaskiem niepospolitym, a na delikatną, bladą twarz, wystąpił wyraz zachwyty.

— Cóż to takiego, Stino?

— Był pan poprzednio, względem mnie bardzo surowy, słyszałam co pan mówił pani o mnie; ale ja to panu przebaczam. Mój Boże, czyż i ja sama nie zgrzeszyłam? Czyż nie zwątpiłam o Bogu? Czyż nie szemrałam przeciw Niemu? O, drogi Jego są cudowne! Tak jasno to teraz widzę!

— Ale cóż takiego?

— Co? Pani Atlung od pół roku prosi Boga o jedną tylko łaskę, a my dopomagaliśmy jej w tem: aby dzieci z nią nie rozłączono. Mąż ciągle jej tem groził. Gdyby nie nieszczęście dzisiejsze, byłoby się to napewno stało. Ale Bóg ją wysłuchał, może i ja byłam narzędziem w jego ręku i śmierć małego Janka, tak, napewno. Czyż pan wątpi o tem?

— Ale jeżeli dzieci rozchorują się, a stanie się to niewątpliwie?

— Wtedy rodzice oboje będą czuwali nad nimi i nigdy już, nigdy nie przyjdzie im do głowy rozstawać się z nimi. Przekona się wtedy Atlung, że toby ją zabiło. Bo już dziś to widzi; tak, tak, przysiągł jej to uroczyście.

Mówiła to wszystko szeptem, ale pewnym i stanowczym głosem.

Rozeszliśmy się znowu, lecz spotykaliśmy się częściej, bo przepaść, nad którą szliśmy, uniemożliwiała w tej stronie dalsze poszukiwania.

— Brak mi jeszcze jednego wyjaśnienia, — szepnąłem Stinie. — Jeżeli kwestya pozostania dzieci przy matce, zależną była od śmierci tego nieszczęśliwego dziecka, Janka, w takim razie i ten wielki spadek śniegu, który przed chwilą widzieliśmy, wchodzić tu w grę musi, tylko nie mogę jeszcze sobie zdać sprawy, w jaki sposób?

— Spadek śniegu? Ależ to był chyba czysty przypadek?

— A więc istnieją przypadki?

— Tak, — odparła spokojnie. — Przypadek odgrywa nieraz wielką rolę, ale tu nie zastanawiam się dlaczego? To przecież wielka łaska Boska, że to, co widzę, widzieć mogę, dlaczegoż mam żądać więcej?

— Co pan myśli z tym śniegiem? — spytała wreszcie zcicha.

— Powiem wam to, Stino. Pani Atlung, na krótko przed naszym przyjściem do lasu powiedziała mi, że nadzieja nieśmiertelności spada z nieba na nasze dusze, tak samo biało, cicho i miękko, jak śnieg na nagą ziemię.

— O, jakie to piękne słowa!

— A kiedy cały las drżał i strząsał z siebie śnieg, o, proszę, nie gniewajcie się, pomyślałem sobie, że nadzieja nieśmiertelności, tak ze strony pani Atlung, jak waszej, i nas wszystkich opadła w wielkiej trwodze o życie dzieci. Biegaliśmy ze łzami wściekłości niemal, że dzieci oderwane zostały od życia, albo że wypadki, tu, na ziemi, postawiły je u progu wieczności.

— O mój Boże, tak!

— Ale ludzkość, widzicie, miała nadzieję nieśmiertelności przez wiele tysięcy lat, bo jest starszą, o wiele starszą od chrześcijaństwa, a jednak nie postąpiliśmy naprzód w tym kierunku.

— Tak, tak, masz pan słuszość! Ktoby to był pomyślał! — odparła i zamyśliła się głęboko.

— Powiedzieliście przedtem, Stino, że byłem surowym względem was, a ja jednak nic innego nie uczyniłem, tylko przypomniałem wam o tej nadziei, którą wpoiliście w chłopców. Uczyliście ich bo przecież, że jest lepiej, o wiele lepiej u Boga, niż tutaj; że lepiej dostać skrzydła i zostać aniołem; bo to jest najszczytniejsze, co dziecko osiągnąć może. Tak, że anioły same przyjdą i zabiorą nieszczęśliwe dzieci.

— O, jakże byłam nierozważną, jakże mogłam!

— Czyż nie wierzycie w to sami?

— Naturalnie, że wierzę. Ale ta myśl, była często w życiu jedyną pociechą dla mnie.

I w sposób wzruszający, opowiedziała mi, że głowa jej nie jest już tak mocną jak przedtem, że tyle cierpiała i płakała, i że jedyną jej pociechą jest właśnie nadzieja na lepsze życie.

Tymczasem rozpaczliwe nawoływania Atlunga powtarzały się od czasu do czasu.

I nagle przypomniały nam one okrutną rzeczywistość, że nie znaleźliśmy jeszcze dotąd dzieci, a czem dłużej to trwało, tem pewniejsi byliśmy, że jeśli ocalimy ich od śmierci, to przynajmniej nie unikną ciężkiej choroby.

Śnieg padał ciągle, tak, że pomimo księżycy ruszaliśmy się jak we mgle.

Naraz wśród mgły i ciszy, usłyszeliśmy jakieś głosy, ale to nie był krzyk Atlunga; nie mogłem odróżnić wyrazów, ale zaraz usłyszeliśmy znów jakieś nawoływanie, potem jeszcze i jeszcze inne, i wreszcie ostatni, wyraźny okrzyk:

— Słyszałam płacz ich!

Mówiła to jakaś kobieta. Pobiegłem, inni za mną, wszyscy w kierunku, w którym głos się odzywał.

Jakkolwiek byliśmy już bardzo zmęczeni tem brnięciem po śniegu, nowe siły wstąpiły w nas teraz i biegliśmy lekko, jak po gładkiej podłodze. Światło latarni, drgające, oślepiło nas, nikt nie mówił, można było słyszeć krótkie przyspieszone oddechy.

— Cicho! zawołała jakaś młoda dziewczyna, i zatrzymała się. Poszliśmy wszyscy za jej przykładem, bo słyszeliśmy już wyraźnie donośny płacz dzieci, które czas dłuższy były same, nikt ich nie słyszał i naraz nadchodziła pomoc.

— O mój Boże! — zawołał jakiś starszy człowiek, który zdawał się płacz ten rozumieć.

Szliśmy dalej, już cokolwiek uspokojeni. Przeszliśmy staw, i kawał lasu, gdzie drzewa stanowiły równą aleję.

Płacz stawał się coraz wyraźniejszy, a w końcu już usłyszeliśmy zmieszane z nim głosy pieszczotliwe.

Były to głosy matki i ojca. Oni dotarli pierwsi.

Gdyśmy byli już na miejscu, dostrzegliśmy dwie czarne postacie: oboje rodzice klęczeli, przed dziećmi, tuląc je do swego łona.

Po za nimi leżała cała olbrzymia biała masa, na której chłopcy szukali schronienia. Gdyśmy się zbliżyli z latarniami, przekonaliśmy się, że dzieci wyglądają okropnie, całe sine, z opuchniętymi rączkami, i twarzami. Na pieszczoty rodziców nie odpowiadały wcale, tylko płakały i płakały. Wzruszenie panowało ogólne. Wszyscy prawie, nie wyłączając mnie, płakali i zawodzili.

Atlung wstał pierwszy i wziął starszego chłopca na rękę, żona zaś młodszego, nie pozwalając się w tem nikomu wyręczyć; i obsypując dziecko pieszczotami. Potykała się kilkakrotnie, upadła w końcu, lecz żadnej pomocy przyjąć nie chciała. I spojrzała w niebo, jakgdyby chcąc zapytać, jakże się to wszystko stać mogło. Stina podniosła dziecko, ktoś inny jej wstać pomógł; chłopiec zaczął znów matki wzywać, lecz mąż wziął i jego i poszedł szybko naprzód, pobiegła za nimi i żona, obsypując dzieci wraz z mężem pieszczotami.

A kiedy ich tak we mgle śnieżnej widziałem płaczących i pocieszających dzieci, mimowoli dawne myśli zbudziły się w pamięci.

Dwaj biedni malcy chwycili starszych za słowo, ku ich wielkiemu przerażeniu. Gdybyśmy mieli prawo tak myśleć, to dzieci, choć nam tego powiedzieć nie mogły, szukały rzeczywistości wyższej, nad tą, którą my znamy.

Wierzyły w coś bardziej, niż my, kochającego, w lepsze, niż nasze, życie. Z tą wiarą, wśród śniegu i zimna, cudu oczekiwały. Gdy grzmot targnął powietrzem, zadrżały może w oczekiwaniu — a tylko przez śnieg zasypane zostały.

Ilum miały poprzedników?

VII

Natychmiast prawie opuściłem Skogstad, nie pożegnawszy się z Atlungami. Do stacyi dostałem konia. Śnieg padał jeszcze trochę, ale chmury coraz się rozpraszały i światło księżycy lśniło coraz jaśniej. Las wyglądał, jak naród złamany i zwyciężony; ciężar, który nosił, większy był niż jego siły. Stał jednakże cierpliwy, szczyt, przy szczytce, bez końca; to był naród czasów zamierzchłych. I widziałem w wyobraźni mojej pokolenia zanikłe, wśród mgły i pyłu, nie poznające się nawzajem, walczące przeciw sobie, zabijające się mianami nawzajem; ale tumany pyłu, zawsze wznosiły się ponad niemi. I ja widziałem wśród nich wszystkich tych, co rany mieli, co umrzeć musieli. Dostrzegłem wśród nich, tkliwe, delikatne dusze, które dokonywały rzeczy najszczytniejszych i najpiękniejszych, jak owi duchowni lekarze egipscy, którzy chorych i umierających ratowali od śmierci a na rany kładli lekarstwa mistycznych symboli.

Ale stosunki społeczne, najświeższej nawet, doby ostatniej, widziałem pokryte, grubemi warstwami pyłu. Uwolnić życie od nich, znaczyłoby zburzyć cały dzisiejszy porządek

społeczny.

Obrazy te stawały się coraz bardziej męczące; wypłynęły za to z nich, co tylko przeżyte chwile; słyszałem żalony, gorzki płacz dzieci, które kochające ramiona unosiły z jednej warstwy pyłu, w drugą, jeszcze większą.

Wydostałem się nareszcie z lasu samego i jechałem wzdłuż niego drogą, prowadzącą do stacy na górę.

Kiedy stanąłem nareszcie na miejscu i rzuciłem okiem na drzewa, tonęły całe w świetle księżycowym. Wspaniałym był las w swoim majestacie piękna i powagi.

Widok ten uniósł mnie i obrazy mojej wyobraźni inną przybrały postać.

Marzenie wszystkich ludów, powstałe nieskończenie dawno, w przeszłości zamierchłej, z przed czasów najdawniejszych dziejów, wylaniające się w coraz nowych postaciach. A każda nowa oznacza zagładę poprzedniej; każda młodsza, mniej przez rzeczywistość zasłonięta, pozwala szerzej, swobodniej odetchnąć, aż wreszcie ostatnie marzenie szczytów z czasem w nicosć się obróci. Kiedyż się to stanie?

Nieskończoność powraca zawsze, a z nią wszystko, co jest niepojęte, ale to już życia nie przytłacza, nie osypuje go pyłem; napędza raczej pragnieniem oddania się.

Siedziałem znów w saniach, słuchając monotonnego głosu dzwonek. Usnąłem. I znów płacz dzieci mieszał się z ich dźwiękiem, i pomimo woli zastanawiałem się, co będzie dalej z dziećmi, i jak niedługo Skogstad podobny stanie się raczej do szpitala. Jakże inaczej myślałem o tej starej siedzibie, jadąc tutaj.

Przypominałem sobie to wszystko, gdy dwa miesiące później jechałem znowu tą samą drogą z Atlungiem i on opowiadał mi o wszystkim, co po moim wyjeździe zaszło. Przez ten czas byłem za granicą, a z nim spotkałem się w mieście. To zaś, co mi opowiadał, przytaczam mniej więcej swojemi słowami:

Dzieci dostały zapalenia płuc, choroba była niebezpieczna, ale pani Atlung była pewna, że wszystko to, stało się dlatego, ażeby mogła zatrzymać je przy sobie. W lesie już, mąż jej przysiągł, że ich jej nie odbierze. Szczęście tedy i spokój zapanować miały w domu. Zwierzyła się też mężowi, że od pół roku modliła się, aby Jezus w jakikolwiek sposób temu zapobiegł. Pomoc w tem miała w ojcu i w Stinie. Wierzyła, iż wkoło niej wszystko sprzymierzyć się w tej modlitwie było powinno.

Tak przekonała Atlunga i zajęła go dziećmi, że nie dostrzegał zupełnie jak, chorą jest biedna żona. Nie zauważył też tego nikt, z powodu jej niezwykle pogodnego stanu umysłu i napięcia, jakim tchnęła cała jej dusza. Widzieli wszyscy, że jest chora i że ma gorączkę, ale o niebezpieczeństwie nikt nie myślał. Łóżko, w którym leżała matka, przystawili na jej prośbę do łóżeczek dzieci.

Pewnego dnia, Atlung przyszedłszy z fabryki do domu, wszedł prosto do pokoju chorych. Osoba pielęgnująca ich usnęła, dzieci też spały, a ponieważ żona nie odzywała się do niego, jak zwykle, więc sądził że i ona we śnie odpoczywa. Pochyliwszy się nad nią z przestrachem zobaczył, twarz jej cudną zalaną łzami. I teraz dopiero dostrzegł, jak strasznie była zmieniona. Zachwiał się. Jakże mógł tego dotąd nie dostrzedz!

— Amelio! Co tobie? — szepnął.

— Widzę po twojej twarzy, że wiesz dobrze, — odszepnęła.

— Amelio! — zawołał i upadł przed nią na kolana, złamany i zbolany.

— Ja nie tak myślałam, — odparła szeptem, ledwie dosłyszalnym.

— Co takiego? Amelio?

Oczy jej znów zapełniły się łzami, podniosła na niego swe wielkie cudne oczy.

— Ja nie chciałem ich *tobie* odbierać!

Nie śmiał już o nic pytać, aczkolwiek słów jej nie rozumiał jeszcze. Przypuszczał, że się podczas jego nieobecności coś stać musiało, co rozstrzygnęło losy jej życia lub śmierci. Ale rozumiał, że jeżeli natychmiast nie odejdzie, to zabije ją wyrazem swej twarzy; odgadnie wszystko. Pobiegł do gabinetu i upadł na sofę. Przywołał Stiny.

— Co się tu dziś rano stało? — spytał.

Stina nie umiała mu nic powiedzieć. Doktor nie był, miał nadejść później.

Poznał sam i wybuchnął płaczem. W dużym pokoju usłyszał swoje własne łkanie, i zadrzał całym ciałem. Czuł to dobrze teraz, że odtąd sam tu teraz siedzieć będzie i tygodniami całymi słyszeć to łkanie. I w bezmiernej tęsknocie ujrzał jej obraz przed sobą: szła ku niemu, taka biała i tłómaczyła mu czego nie rozumiał. Modliła się żarliwie i gorąco,

aby jej Pan Bóg z dziećmi nie rozłączył, teraz wysłuchaną została, ale okrutnie, bo je ze sobą w krainę śmierci zabierze. Dlatego mówiła, że nie tak myślała, że nie chciała ich z *nim* rozłączać.

Nad ranem chora usnęła i uspokoiła się po bardzo ilnej gorączce w nocy. Zbudziwszy się, była bardzo osłabiona. Leżała z zamkniętymi oczyma. Podano jej jedzenie, odsunęła je. Pod wieczór gorączka zwiększyła się. Przeniesiono ją, z porady lekarza, do drugiego pokoju. Wydało się jej, że niosą ją do raju i cichutko nucić poczęła psalm. Nad ranem znów usnęła, lecz wkrótce nastąpiły jakieś straszne bóle, a potem już tylko jeszcze straszniejsza walka ze śmiercią. Atlung trzymając ją za rękę, czuwał przy niej aż do ostatniego tchnienia.

Nazajutrz doktor oświadczył mu, że dzieci wyszły z wszelkiego niebezpieczeństwa. Atlung nie rozdzielał dotąd dzieci od matki, ani na chwilę; podczas choroby ich czuł razem z nią, że żyć będą. I teraz, kiedy matka miała być z nimi rozłączona, inne uczucie — radości, zniknęło, a raczej ogarnęło go przerażenie, że i tu się pomyliła nieszczęśliwa. Zdawało mu się, że ona żyje i może widzieć, że wszystko jest tylko pomyłką.

Na dworze spotkaliśmy obu czarno ubranych chłopców, bladych i mizernych. Atlung zaprowadził mnie do grobów rodzinnych do kaplicy. Zdjęliśmy kapelusze i podeszliśmy do trumny, w najgłębszym milczeniu, i w niemym skupieniu opuściliśmy kaplicę.

Powietrze było ciepłe i łagodne. Las pysznił się już zielonością pod ostatnimi płatami śniegu, zdala fiord pachniał świeżością.

W powietrzu czuć było Maj, chociaż znajdowaliśmy się zaledwie w połowie zimy.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/pyl/>

Tekst opracowany na podstawie: Björnsterne Björnson, *Pył*, nakł. i druk Piotra Laskauera i s-ki, 1905.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

Okładka na podstawie: Claudia Regina CC@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0086-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).